ROMANS I POWIEŚĆ

Rok XIV. Warszawa, dnia 23 grudnia 1922 roku. № 51.

Jack London. tł. Haliny Evert.

FRANCIS SPAIGHT.

Z PRAWDZIWEGO ZDARZENIA.

„Francis Spaight" płynął przed siebie pod osłoną tylnego masztu, gdy zaszła owa katastrofa. Spowodowało ją nietyle niedbalstwo załogi, ile brak dyscypliny; lekkomyślność była wybitną cechą tych marynarzy. Stosowało się to przedewszystkiem do sternika, który, urodzony w Limericku, nie widział nigdy słonej wody po za portem Quebecu. To też drżał przed ogromnemi wałami, bijącemi w statek, i czuł o wiele więcej ochoty do ucieczki przed niemi, niż do prucia ich ostrzem steru.

Była trzecia nad ranem, gdy jego tchórzostwo przyśpieszyło koniec. Na widok fali potężniejszej od innych spuścił ręce ze szprychów koła i cofnął się. „Francis Spaight" zakołysał się przez krótką chwilę i odwrócił się bokiem ku bałwanom, które uderzyły weń całą siłą. W kilka sekund później statek leżał przewrócony tak potwornie, że balustrada górnego pokładu znajdowała się niemal na równi z powierzchnią oceanu, a fala za falą, przelewając się jak lodowaty potop przez statek, zmiatały wszystko przed sobą.

Załoga zrozpaczona i bezsilna, ogłupiała z przerażenia, zdecydowana była tylko na jedno: zupełne niesłuchanie rozkazów. Jedni krzyczeli, inni chwytali się masztów, a jeszcze inni modlili się na głos, lub rozpaczliwie klęli; ani kapitan, ani jego pomocnik nie mogli nakłonić nikogo do zabrania się do pomp, lub wyprostowania masztów i skierowania statku przeciw wiatrom i falom. W ciągu jednej godziny przód statku zupełnie pogrążył się w wodę, a tchórzliwa załoga czepiała się masztów, poszarpanych belek i potrzaskanego żelaza. Pomocnik kapitana i dwaj majtkowie, szukający schronienia w przedniej kajucie, zostali bezpowrotnie zmieceni falą. Pomocnik kapitana był najlepszym marynarzem z pośród całej załogi i, utraciwszy go, kapitan był niemal równie bezsilny, jak i podwładni. Przeklinając ich niezaradność, sam nic nie robił i dopiero majtek Mahoney z pomocą chłopca okrętowego. O'Briena, zwalili główne maszty, Dokonali tego z narażeniem własnego życia, pnąc się po prostopadłej ścianie i podcinając w ogólnym popłochu i tylny maszt. „Francis Spaight" uniósł się nieco, ale woda wdzierała się do środka i statek bezwątpienia byłby poszedł na dno, gdyby nie ta szczęśliwa okoliczność, iż nie był naładowany. Główny maszt, trzymający się jeszcze na sznurach, walił w jego bok, niczem potworny młot, wywołując za każdym uderzeniem przekleństwa i jęki ze strony załogi.

Gdy świt wzeszedł nad rozhukanym oceanem, szary jego blask oświetlił to, co pozostało z „Francis Spaight'u": wznoszący się ponad powierzchnią wody tył statku, chwiejący się ostatni maszt i poszarpane linje balustrady i bulwarów. Była zima i nieszczęśni rozbitkowie Północnego Atlantyku skostnieli z mrozu. Nie mieli gdzie się schronić. Fale przelewały się przez szczątek statku, obmywając ich słoną wodą. W kajucie, pod pokładem woda sięgała kolan, ale tu przynajmniej można się było ukryć przed lodowatym wichrem; tutaj więc zgromadzili się wszyscy i, stojąc, trzymali się ścian lub opierali wzajem na sobie.

Napróżno Mahoney starał się namówić towarzyszy do odbywania kolejno warty na szczycie masztu, w nadziei ujrzenia jakiegoś statku. Zimno przerażało ich i woleli pozostać w kajucie. O'Brien, chłopak zaledwie piętnastoletni, zmieniał się kolejno z Mahoney'em na warcie; o trzeciej popołudniu ujrzał jakiś żagiel i dał znak towarzyszom którzy zebrali się na pokładzie. Okręt jednak zmierzał w zupełnie przeciwną stronę i gdy zniknął z horyzontu, wszyscy powrócili do kajuty; nikt się nie zaofiarował zastąpić wartownika.

Przy końcu drugiego dnia Mahoney i O'Brien skwitowali z warty i od tej chwili rozbity statek chwiał się na wichrze nie doglądany przez nikogo. Trzynastu ludzi pozostało przy życiu. Przez 72 godziny stali po kolana w słonej wodzie, napół zmarznięci, nie mając ani kawałka chleba i zaledwie trzy butelki wina na wszystkich. Cała spiżarnia mieściła się pod pokładem, na przodzie statku i nie było sposobu wydobycia jej. Dnie mijały, a oni nie mieli nic w ustach; zdobyli trochę wody, zbierając deszcz w pokrywę rondla. Ale padało rzadko i wszyscy byli spragnieni. Przy niepogodzie nadstawiali swe chustki, wyciskając je potem do ust lub bucików. Gdy wiatr ucichł i morze opadło, udało im się oderwać i wykrzywić niektóre części statku i, używając je zamiast naczyń, zwiększyć zapas wody. Ale pożywienia nie mieli wcale, choć mewy przelatywały często nad ich głowami.

Po burzy nastąpiła cisza i, zmęczeni 96 godzinnem staniem, pokładli się na suchych deskach w kajucie. Ale słona woda wygryzła im niezmiernie bolesne rany na nogach; najlżejsze draśnięcie, najdrobniejszy ruch wywoływał nieznośne cierpienie, a ponieważ byli bardzo osłabli i natłoczeni, trącali się bezustannie. Nikt nie mógł się poruszyć, aby cały grad przekleństw i jęków nie spadł na jego głowę. Położenie ich było tak rozpaczliwe, że silniejsi uciskali słabszych, spychając ich z suchego miejsca w wodę. O'Brien, chłopiec okrętowy, był szczególnie maltretowany; narzekano na niego najbardziej, aczkolwiek było jeszcze trzech innych malców. Tłomaczyło się to jedynie tem, iż O'Brien, silniejszy i energiczniejszy od rówieśników, głębiej odczuwał

niesprawiedliwość i nadużycia dorosłych i goręcej się bronił. Gdy tylko zbliżył się do marynarzy, szukając suchego miejsca, lub wprost zmieniając pozycję, darzono go biciem i kopaniem. On znów wzajem wymawiał im ostro ich brutalność i egoizm, za co znów bito go, kopano i wymyślano mu. Wśród tych wszystkich nieszczęśliwych on był najnieszczęśliwszym, i jedynie niesłychana jego odporność utrzymywała go przy życiu.

Dnie upływały, a wraz z ich biegiem wzrastały rozpacz, osłabienie i rozdrażnienie rozbitków. Równolegle wzrastało maltretowanie i cierpienia O'Briena. Wreszcie szesnastego dnia, gdy nie było człowieka, któryby sobie nie poobgryzał palców z głodu, wszyscy zebrali się na pokładzie, szepcząc coś półgłosem i spoglądając zukosa na O'Briena. Było już dobrze popołudniu, gdy zgodna rezolucja zakończyła te konszachty. Kapitan zabrał głos; cała załoga zgromadziła się na pokładzie.

— „Koledzy—zaczął kapitan — oto już dwa tygodnie i dwa dni jak nic nie mieliśmy w ustach. Zdaje nam się, że to już raczej dwa lata i dwa miesiące. Tak dalej być nie może. Jest to ponad siły ludzkie wytrwać dłużej bez pożywienia. Dlatego stoimy przed poważnem zagadnieniem: czy lepiej, aby umarł jeden z nas, czy też by zginęli wszyscy? Jesteśmy nad grobem. Jeśli jeden z pośród nas umrze, reszta, żywiąc się jego ciałem, będzie może w stanie doczekać się jakiegoś statku, który przyniesie ratunek. Co myślicie o mojej propozycji"?

Michał Behane, sternik, krzyknął, iż kapitan ma rację, reszta poparła wniosek.

— „Poświęćmy jednego z chłopców" — zawołał Sullivan, spoglądając zarazem znacząco na O'Briena.

— „Zgadzamy się" — rzekł kapitan — „iż jeden z nas powinien umrzeć dla uratowania reszty".

— „Powinien, powinien"—krzyczeli marynarze.

— „I uważam, że należy poświęcić jednego z chłopców" — ciągnął kapitan.—„Nie mają oni rodziny do utrzymywania i śmierć ich nie będzie taką klęską, jak śmierć tych, którzy mają żony i dzieci".

— „Słusznie, bardzo słusznie! Tak należy postąpić!"—mówili między sobą marynarze.

Ale czterej chłopcy zaprotestowali przeciw tej niesprawiedliwości.

— „Kochamy nasze rodziny tak, jak i wy, i też nie mamy ochoty umierać"—oponował O'Brien.—„Co się tyczy żon i dzieci, to Behane, który tak, jak i ja pochodzi z Limericku, wie, iż utrzymuję moją matkę, wdowę. To niesprawiedliwe. Ciągnijmy losy wszyscy narówni".

Mahoney, jeden jedyny, ujął się za chłopców, twierdząc, że losy winny być rzucane jednakowo wśród wszystkich. Ale Sullivan i kapitan protestowali; wywiązała się zajadła sprzeczka, w trakcie której Sullivan zwrócił się ze złością do O'Briena.

— „Najwłaściwiej byłoby zabić odrazu ciebie. Zasługujesz na to, to też zabijemy cię bezwątpienia".

Rzucił się do O'Briena w zamiarze zamordowania go, a kilku innych, za jego przykładem, podbiegło ku chłopcu. Ten cofnął się, starając się gdzieś ukryć, a zarazem krzyknął, iż podda się losowaniu.

Kapitan przygotował cztery kije rozlicznej długości i podał je Sullivanowi. Ten zaś odezwał się drwiąco do O'Briena:

— „Boisz się zapewne, że losowanie odbędzie się nieuczciwie. Chodź więc i sam ciągnij".

O'Brien zgodził się; zawiązano mu oczy i ukląkł na pokładzie, plecami do Sullivana.

— „Ten, komu przeznaczysz najkrótszą pałkę, umrze"— zdecydował kapitan.

Sullivan wyciągnął jeden patyk; ponieważ jednak trzymał pozostałe ukryte w ręku, nie można było dojrzeć, który był najkrótszy.

— „Dla kogo ten patyk?" — spytał Sullivan.

— „Dla małego Johnny Sheehan" — odparł O'Brien.

Sullivan położył patyk obok siebie, ale patrzący nie wiedzieli jeszcze, czy był to ów fatalny. Sullivan, sięgnął po drugi.

— „A ten dla kogo?"

— „Dla Jerzego Burns"— brzmiała odpowiedź.

Sullivan położył drugi patyk obok pierwszego, a wyciągnął trzeci.

— „Ten dla kogo?"

— „Ten dla mnie" — rzekł O'Brien.

Szybkim ruchem Sullivan zmieszał wszystkie patyki. Nikt nic nie widział.

— „Wyciągnąłeś go dla siebie samego"— oświadczył.

— „Sprawiedliwość losu"—szepnęli marynarze.

O'Brien był bardzo spokojny. Podniósł się z kolan, zdjął bandaż i obejrzał się.

— „Gdzie jest?" — zapytał — „Ten krótki patyk? ten dla mnie?"

Kapitan wskazał mu wszystkie, leżące na pokładzie.

— „Skądżeż wiecie, że to mój?"— wypytywał O'Brien —„czy widziałeś losowanie, Johnny Sheehan?"

Johnny Sheehan, najmłodszy z chłopców, nie odpowiedział.

— „Ty może widziałeś?"—zwrócił się O'Brien do Mahoney.

— „Nie, nie widziałem".

Marynarze mruczeli coś złowrogo.

— „Ciągnęliśmy uczciwie" — rzekł Sullivan—„los padł na ciebie i skończona historja".

— „Wszystko odbyło się prawidłowo" — dodał kapitan — „wiesz przecie, że ja sam byłem przytem. Los padł na ciebie, O'Brien, i musisz się przygotować. Gdzie nasz kucharz? Gorman, zbliż się, a któryś z was niech przyniesie pokrywę od rondla. Gorman spełń swój obowiązek jak mężczyzna".

— „Ale jakże mam go spełnić?"— szepnął kucharz, krótkowzroczny, słabowity, niezdecydowany człowiek.

— „To nędzne morderstwo" — zawołał O'Brien.

— „Nie przełknę ani kawałka"— oświadczył Mahoney—„ani kawałka".

— „Tem więcej zostanie dla innych"— zadrwił Sulliwan —„dalej do roboty kucharzu".

— „Mordowanie dzieci nie jest moją robotą"— nieśmiało protestował Gorman.

— „Jeżeli nam nie zrobisz w tej chwili obiadu, to my z ciebie zrobimy obiad — zagroził Behane — „ktoś musi umrzeć, a tym kimś możesz być doskonale ty".

Johnny Sheehan zaczął płakać. O'Brien słuchał strachliwie. Twarz jego była blada. Wargi mu drżały, a konwulsyjny dreszcz od czasu do czasu wstrząsał jego ciałem.

— „Umówiłem się jako kucharz"—odparł Gorman—„i byłbym kucharzem do końca, ale nie chcę być mordercą. Niema nic podobnego w umowie. Jestem kucharzem..."

„I kucharzem będziesz jeszcze przez godzinę"—ponuro oświadczył Sullivan, jednocześnie chwytając głowę Gormana i przechylając ją w tył, tak że żyły nabrzmiały na szyi.—„Gdzie nóż Michale? Daj mi go tu."

Pod dotknięciem stali Gorman zawył.

— „Zrobię wszystko, co chcecie" — wołał — „ale przytrzymajcie chłopca".

Dokończenie nastąpi.

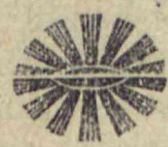

Ludwik Dumur. Powieść.

RZEŹNIK VERDUNU.

10)

Wolny przekład z francuskiego przez H. J. P.

— Angielska... i francuska — odpowiedział Wilhelm Drugi.

— I francuska?

— Korpus XX-sty; pierwszy korpus kolonjalny i XXXV-ty korpus w połączeniu z dwoma armjami angielskiemi.

— Czyżby Francuzi byli dość silni jeszcze, aby módz rzucić trzy korpusy na Sommę?

Cesarz uczynił prawą ręką ruch przygnębienia.

— A Verdun? — wrzasnął Kronprintz.

— A... Verdun? — jęknął Pan Wojny.

— Verdun!.. powtórzył rozpaczliwem echem Falkenhayn.

Wtedy trupia twarz marszałka wykrzywiła się dziwacznie; z oczodołów strzelił ostatni blask, a głos jakby z poza grobu idący wymówił:

— Jesteście zgubieni.

Poczem ów szkielet otulił się swoim wielkim, białym płaszczem jak całunem i oddalił się zwolna w pół świetle olbrzymiej sali, ciągnąc po ziemi swą ciężką szpadę z brzękiem łańcuchów. A mnie wydało się, że powiódł za sobą cały korowód widm. To był Wilhelm Pierwszy w kasku piechoty, pomarszczony, z białemi jak śnieg wąsami i faworytami, dokoła wygolonego podbródka; to był Fryderyk Trzeci, zbolały idealista z wielką brodą, wiewającą na obandażowanej szyi; to był Fryderyk Karol Książe Czerwony z olbrzymiemi wąsami z krwawem szamerowaniem na mundurze, z atilą na ramieniu i płomieniem na czapce, to był kolosalny Bismark w pancerzu na potężnym torsie i z orłem na kasku, to był Moltke chudy i długi, jak sam Haeseler w błękitnym kaszkiecie ze szkarłatną opaską na czaszce. I wszyscy oddalali się i nikli stopniowo w cieniu wyblakłych draperji i obić sali, podczas gdy dwaj ostatni Hohenzollerni, ojciec i syn, Kajzer i Kronprintz, szczękający zębami, bladzi, z pianą na ustach spoglądali na siebie ze zgrozą i nienawiścią, jak gdyby gotowi pożreć się wzajemnie.

. . . . . .

Nie wiem, czy Kronprintz odnalazł nareszcie tego wieczora damę swego serca. Co do mnie po tej straszliwej scenie, który miałem smutny przywilej być świadkiem, wróciłem sam do Stenay koleją, a nazajutrz otrzymawszy papiery od generała Schmidta von Knobelsdorf dla sztabu generała von Lochowa wróciłem do Damvillers.

Wkrótce potem dowiedziałem się, że atak rozwinął się w całej pełni, i że ten dzień, który spędziłem w Charleville i który skończył się tak dramatycznie kłótnią ze starym marszałkiem von Haeseler, był pierwszym dniem bitwy nad Sommą.

Z naszej strony nie mogło być mowy o żadnej ofensywie w wielkim stylu i musieliśmy poprzestawać na utrzymaniu zdobytych dotąd pozycji, które zresztą zajmowaliśmy mocno.

Jedyną nową zdobyczą tych dni klęski, którą mógł się pochlubić nasz waleczny Kronpritz, to było ostateczne zagarnięcie pięknej Gabryeli Beurier. Zniecierpliwiony tą grą w kota i myszkę, jaką z nim prowadziła, Willy kazał ją poprostu porwać przy pomocy pani Claudol i swego policjanta Kleina i osadzić w pięknym apartamencie przy ulicy Jana Jakuba Rousseau w Charleville, pod opieką duegny, niejakiej pani Hénon, która codziennie zdawała mu sprawę z jej zachowania się.

Ale te wiadomości, chciwie słuchane i powtarzane w Kasynie, nie zdołały oderwać moich myśli od jedynego, zaprzątającego je tematu: Co się stało z Julinką? Nie zapomniałem, że baron von Werthau obiecał mi wybadać majora Bauera, naczelnika tajnej policji, lecz trudno mi się było spotkać z nim, chociaż moje obowiązki wzywały mnie często do Stenay. Można było przypuścić, że mnie unika swiadomie, tembardziej iż nawet telefonicznie nie porozumiał się ze mną.

Wreszcie w końcu lipca natknąłem się na barona w sztabie, gdym wychodził od generała Schmidta von Knobelsdorf. Uścisnął mi rękę dość obojętnie, ale widząc mój pytający wzrok, zaprowadził mnie do jakiegoś pustego pokoju.

— Widziałem Bauera — rzekł.

— I cóż? — zapytałem z drżeniem serca.

— Jak ci się zdaje, co mi powiedział?

— Ona żyje? — szepnąłem.

— Nie wiem.

— Jakto nie wiesz, czy umarła czy żyje, gdzie jest, co się z nią stało?

— Nie wiem.

— A więc Bauer...

— Bauer stanowczo odmówił mi udzielenia jakichś wyjaśnień w tym względzie.

— A ty nie nalegałeś?

Von Werthau odpowiedział z zagadkową powagą:

— Nie mogłem nalegać.

— Dlaczego?

Popatrzył mi prosto w oczy; poczem po chwili milczenia:

— Czy wiesz, za co aresztowano pannę Rossignol?

— Podobno za jakieś wrzekome znaki, które jakoby dawała francuskim lotnikom, za ukrywanie zbiegłych jeńców.

— Nie wiesz nic więcej?

— Nie.

— I sądzisz, że to są jedyne powody, prawdziwe powody, dla których ją aresztowano?

— Nie wiem o innych — odrzekłem, czując, że bledną.

I znowu popatrzył na mnie przeciągle, badawczo, jak gdyby chcąc zdać sobie sprawę, czy istotnie nie wiedziałem nic więcej, czy też wiadomem mi było to, co zapewne Bauer powierzył mu w najgłębszej tajemnicy.

Wytrzymałem z pewnym trudem ten wzrok; poczem baron wymówił zwolna i z naciskiem:

— Są rzeczy, których lepiej nie zgłębiać... Są rzeczy, które trzeba zostawić nie wyjaśnionemi w cieniu i w tajemnicy. Wierzaj mi, zaniechaj wszelkich dociekań w tym względzie.

Podał mi rękę... i cóś jakby mgła przesłoniła mu oczy. Rozstaliśmy się dość chłodno; i od tego czasu nigdy go już nie widziałem.

Ale nie posłuchałem jego rozsądnej rady. Moje źródła wyjaśnień nie były wyczerpane: pozostawało mi jeszcze jedno, jedyne, bardzo niebezpieczne, którego obiecywałem sobie nie spożytkować, ale do którego postanowiłem się wreszcie uciec, jeżeli nie chciałem rozstać się z nadzieją dowiedzenia się czegośkolwiek.

Pozostawał Klein; złowrogi Klein.

Długo się wahałem, tak wielkim lękiem i wstrętem napełniał mnie ten człowiek.

Ale pragnienie wyjścia wreszcie z niepewności za wszelką cenę, było we mnie tak wielkie, że przezwyciężając odrazę postanowiłem sprobować tego niebezpiecznego środka.

Pewnego dnia, będąc w Stenay, udałem się do jego biura pod pozorem ostemplowania służbowej przepustki.

Podczas gdy ją podpisywał, pa-

trzyłem na jego płaski nos, na jego ohydny pysk hyeny, łamiąc sobie mózg, jak nawiązać z nim rozmowę.

On sam ułatwił mi zadanie. Podniósł na mnie szaro żółte oczki i rzekł:

— I cóż, panie pierwszy poruczniku; masz pan już nową kochankę?

— Nie mam — odpowiedziałem, siląc się na swobodnie obojętny ton. — Nie mam, panie Klein. Nie jest mi tak pilno. I wyznam panu nawet, że radbym się naprzód dowiedzieć, co się z tamtą stało.

Okrutne, hyenie oczki przybrały chytry wyraz.

— Panie pierwszy poruczniku Hernigu, po tem, co się panu zdarzyło, ciekawość pańska wydaje mi się zgoła nie na miejscu. Zachowałeś się pan w całej tej sprawie z bezgraniczną naiwnością, że nie powiem z głupotą. Wiem to i to pana uratowało. Dałeś się pan wystrychnąć na dudka tej Francuzce. Pańska niewinność była tak namacalną, że pomimo pewnych, bardzo niepomyślnych dla pana okoliczności nie chciałem pana mięszać w tę sprawę. Ale strzeż się pan, panie pierwszy poruczniku Heringu; przestań pan zaprzątać sobie głowę tą dziewczynę, bo mogłoby cię to djablo kosztować. Pewne obciążające zbiegi okoliczności skompromitowałyby pana nieodwołalnie. Nie staraj się pan nigdy dowiedzieć, co się stało z Juljanną Rossignol, zabraniam panu.

— A pan wiesz?

— Wiem.

— Powiedz mi pan przynajmniej...

— Nic.

— Czy żyje?

— Nic.

— Przez litość, panie Klein...— wybełkotałem, tracąc głowę.

— Ani słowa więcej, albo aresztuję pana.

Ręka jego wyciągnęła się ku guzikowi elektrycznego dzwonka. Zimny pot wystąpił mi na czoło.

— Dobrze zatem. Będę posłuszny. Ta sprawa jest pogrzebioną dla mnie nazawsze.

Ręka odwróciła się i wyciągnęła w moją stronę. Uśmiech mignął w szarych, żółto-pręgowanych oczach.

— Doskonale. I spodziewam się, *Herr Oberleutnant*, że gdy znów będę miał przyjemność zobaczyć pana, oznajmisz mi, iż masz nową kochankę. Postaraj się pan wszelako, aby nie była Francuzką.

Na tych słowach skończyła się moja rozmowa z Kleinem.

Że ta sprawa była pogrzebioną dla mnie, to oczywiście tylko dlatego, że musiałem uledz sile wyższej. Usta moje nie wymówiły już nigdy nazwiska Julinki Rossignol. Ale w sercu mojem urocza ta istota żyła tem intensywniej.

Nie dzielony z nikim ciężar tego wyczerpującego wspomnienia uczynił ze mnie odludka i nad całą moją egzystencją rzucił cień tajemniczości. Poza obowiązkami wojskowemi nie stykałem się z ludźmi. Stroniłem od rozrywek kasyna; zobojętniałem na wszystko, co mogło mieć wpływ na moją karjerę.

W głębi duszy jednak nie wyrzekłem się nadziei odnalezienia Julinki. Nie minął dzień, żebym nie obmyślił jakiegoś nowego planu, lub żebym nie próbował jakichś poszukiwań. Z natężonem uchem i okiem śledziłem wszystko, co mogło mnie naprowadzić na jakiś ślad. Rozmowy żołnierzy, przekupniów, woźniców, gawędy w kantynach lub na korytarzach komendantur, wszystko mi było dobre. Włóczyłem się po dworcach, centrach ewakuacyjnych, konwojach zesłańców. Stawałem na gościńcach, przyglądając się pracującym w polu wieśniakom, zachodziłem do składów i warsztatów, gdzie wybladli cywile wyczerpywali resztki sił dla nas. Bywałem w ten sposób świadkiem wielu bolesnych scen i często serce ściskało mi się litością na widok tych nieszczęsnych mężczyzn i kobiet, zgłodniałych, okrytych łachmanami, spełniających najcięższe roboty pod brutalnym dozorem rozwścieczonych żołdaków.

Los jeńców wojennych był niemniej godnym pożałowania. Pchano ich niemal na linję granatów, by tam kopali grunt lub rozdzierali sobie ręce wiązaniem kolczastych drutów. Widziałem raz dwudziestu, którzy, odmówiwszy pracy dla nas, skazani zostali na karę pręgierza. Każdy z tych nieszczęśników miał ręce i stopy związane za słupem, wskutek czego głowa i szyja chyliły się naprzód pod ciężarem ciała. Więzy zrobione z mocnego, żelaznego drutu, miały drewnianą zatyczkę, którą trzeba było obrócić tylko, aby dowolnie zacieśnić wiązanie. Sześciu żołnierzy, przeznaczonych do pilnowania skazańców, chodziło z fajką w ustach od jednego do drugiego, zapytując od czasu do czasu, czy się poddają i będą pracować. Gdy odmawiali, obracano nanowo zatyczkę. Zapytałem, jak długo trwała ich męka. Większość ustępowała po paru godzinach. Niektórzy wytrzymywali do dwudziestu czterech godzin. Trzech z pomiędzy tych, których widziałem, trwali tak dwa dni i dwie noce. Ten smutny widok przywiódł mi na pamięć Piotra Lormeau, który znosił to męczeństwo w obozie Wittenberga. Zbyt jednak byłem sam udręczony, by ubolewać długo nad okrutnemi wybrykami naszych zwyczajów wojennych. Nie miałem więzów na członkach, ale serce moje krwawiło się w kleszczach, zaciskających się coraz bardziej z każdym dniem. Uporczywa żądza odnalezienia Julinki, niepewność, czy ją odnajdę i w jakim stanie odnajdę ją, lub może tylko jej grób, dręczyły mnie aż do fizycznego bólu. Mijały dnie i tygodnie, nie przynosząc nawet cienia jakiejkolwiek wskazówki.

Raz jednak doznałem straszliwego wstrząśnienia. Pomiędzy Beaumont i Ornes, niedaleko od naszych dawnych okopów, wśród plugawej gromady grabarzy, grzebiących szczątki ludzkie, spostrzegłem postać kobiecą, wiotką i giętką, poruszającą się w sposób, który mi się wydał znajomym. Myślałem, że to ona. Jak szalony, rzuciłem się pomiędzy trupy, kości, zgniłe odpadki, dusząc się od wstrętnych wyziewów. Niestety, to nie była ona. Znalazłem młodą kobietę, wychudłą, przedwcześnie pomarszczoną, o siwiejących włosach, wystraszoną na mój widok i już przybierającą postawę błagalną. Uspokoiłem ją, śmiertelnie smutny. Powiedziała mi, że się nazywa Josette Pastorneau, że pochodzi z Flabas.

— Zabrali mi moich dwoje dzieci i ewakuowali je wraz z moją matką. Mnie zostawili.

Dałem jej dwadzieścia marek i odszedłem, myśląc, że ohydniejszy jeszcze los mógł się stać jej udziałem. Przypomniało mi się to, co widziałem w Charleville, i ten dreszcz, jaki mną wstrząsnął na myśl, że Julinka mogła się znajdować w jakim domu rozpusty. Czy należało zatem skierować moje poszukiwania do tych wstrętnych spelunek? Tak. I blady, ponury, zacząłem przestępować progi haniebne występku i wyuzdania, począwszy od wykwintnych w rodzaju zakładu papy Beurier, a kończąc na najordynarniejszych kloakach orgji. Wszystko napróżno.

Minął sierpień. Pierwsze wrześniowe mgły unosiły się rano i wieczór nad Meusą. W Dun dom staruszków Lormeau zamieniony został na szpital dla tyfusowych. Miasteczko było zawsze ogniskiem wielkiego przemarszu wojsk, ale kierunak nie był już ten sam: odbywał się przeważnie z południa na północ.

Dalszy ciąg nastąpi.